

WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.



Pamiętaj (str. 770).

Pamiętaj!

Ej kotku! ty kotku filucie,
Co pani przyjmujesz pieszczotę,
Dla pani udajesz uczucie,
A ptaszka masz schrupać ochotę.
Pamiętaj, że zbadać się daje
Myśl skryta w serduszkach kocięć,
Że wilka się z czasem poznaje,
Chociażby w futerku jagnięćem —
Pamiętaj! i nie rusz ptaszyny,
Co drogą panience jest twojój;
Nie rozrań serduszka dziewczyny,
Bo serce się nigdy nie goi.

Marla S.

DŹWIĘKI OJCZYSTEJ PIEŚNI.

Gawęda o Franciszku Karpińskim,
przez Z. Morawską.

(Dokończenie).

Z tego wszystkiego jednak, co wam mówiłem, nie moglibyście sobie urobić żadnego pojęcia o charakterze Karpińskiego, ani jako człowieka, ani jako poety. A jeżeli gdzie, to w poezyi, będącej obrazem duszy i uczuć piszącego, człowiek i poeta występują razem.

Charakter Karpińskiego widnieje doskonale w jego poezjach. Tkliwy, serdeczny, miłujący kraj, lud, rodzinę, skłonny do roztkliwienia się nad wszystkiem, co go otaczało; lecz zarazem roztkliwiający się i nad sobą bez miary. Nie można go posądzić o chciwość; owszem, chętnie dzielił się tem, co miał, lecz żywił jakąś niechęć do świata, że jego talent niedosyć przynosił mu korzyści. Jest to wada, którą, obok rzeczywistych przymiotów, musimy mu darować. Był bowiem prawości nieposzlakowanej. Nigdy pochlebstwo lub kłamstwo ust jego nie skalało; a mimo to lubił pochwały, może dla tego, że ich sam zbyt skąpo i tylko przy należnie udzielał.

Niezapreczenie jednak powinniśmy go bardzo cenić. Stworzył on rodzaj poezyi dotąd u nas nieznanęj. Poezya, wykwitająca w Polsce w XVI wieku w całej pełni, była to poezya poważna, spokojna, zajmująca miejsce tuż obok wzniosłej poezyi religijnej. Czasem wprawdzie tryskała ona wesołym humorem i rubaszością naszych ojców, lecz nigdy nie wypowiadała delikatnych uczuć i drgań tajemnych serca. Nie umiała wyrażać

rozmaitych odcieni serca ludzkiego. Stosunki z Francją przynosiły nam ztamtąd roztkliwione utwory, które dwór Stanisława Augusta i cały świat ówczesny elegancki czytywał, w świecie tym bowiem znanym był tylko wówczas język francuzki. A dobrze, że utwory te nie rozszerzały się po naszym kraju, bo i tak w społeczeństwie, w którym były czytane, niemało one głów przewróciły. Utwory te były częstokroć niezdrowe dla samej Francyi, a cóż dopiero gdy je przeszczepiono do naszego kraju, różniącego się tak bardzo obyczajami i usposobieniem narodu. Karpiński więc zapełnił u nas ten brak poezyi uczuciowej swojemi sielankami, to jest opisywaniem rozkoszy życia wiejskiego

Nie uszedł on jednak wady swojego wieku. I on tak samo wprowadzał do tych sielanek pasterzy i pasterki z imionami greckimi lub francuzkimi, przemawiających z dziwną przesadą, różniącą się bardzo od prostoty, nie tylko naszego wieśniaka, ale szlachty, żyjącej w zaściankach, ba! nawet i młodszej bardzo, lecz żyjącej zdala od stolicy. Mielicie oto przykład tych imion i tej wymuszoności w tylko co wypowiedzianym wierszu.

Była to więc sielanka udawana, nie mająca prostoty w sobie; była jednak pisana mową polską, roztkliwioną i pieściwą. Takiem właśnie pragnęło całe młode pokolenie, i dla tego też pieśni Karpińskiego przeszły od razu do najodleglejszych zaścianków. Dorabiano do nich muzykę, a nie było dworu i dworku, gdzieby młodzież przy dźwięku hiszpańskiej gitary nie śpiewała owych czułych Karpińskiego pieśni.

Dziś nikt tych sielanek nie śpiewa. Czasem wprawdzie usłyszycie, że ktoś przez żart zanuci pieśń o Filonie, jednym z bohaterów Karpińskiego, lecz zarazem usłyszycie i śmiech z wyrażonego tam sentymentalizmu, i słusznie. Dziś bowiem mamy tak dużo piękniejszych poezyi, że śpiewanie, niezgadających się z usposobieniem obecnego wieku sielanek Karpińskiego, naprawdę byłoby śmiesznością.

Że zaś dużo z tych sielanek zatytułował: „Do Justyny”. Król Stanisław August nazwał go „śpiwakiem Justyny” a ten przydomek i teraz często nadawanym jest poecie”. I oto na wzór musimy wam znów powiedzieć jedną z tych sielanek.

DO WIOSNY.

Już tyle razy słońce wracało,
I blaskiem swoim dzień szczyci;
A memu słońcu cóż się to stało,
Że mi dotychczas nie świeci?

Już się i zboże do góry wzbilo,
I ledwie nie kłós chce wydać;

Całe się pole zazieleniło;
 Mojój przenicy nie widać!
 Już słowik w sadzie zaczął swe pieśni,
 Gaj mu się cały odzywa;
 Kłócą powietrze ptaszkowie leśni;
 A mój mi ptaszek nie śpiewał!
 Już tyle kwiatów ziemia wydała
 Po onegdajszej powodzi;
 W różne się barwy łąka przybrała;
 A mój mi kwiatek nie schodzi!
 O wiosno! pókiż będę cię prosił,
 Gospodarz zewsząd stroskany?
 Jużem dość ziemię łzami urosił.
 Wróć mi urodzaj kochany.

— Chciałbym przeczytać te sielanki — ozwał się Janek. — Ciekawy jestem bardzo, czy we wszystkich Karpiński tak tęskni i narzeka. Bo w tej na przykład to wciąż się skarży, że chociaż dla wszystkich wiosna nadeszła, jemu jednak smutno i smutno. Musiał Karpiński mieć wiele nieszczęść, kiedy tak się smucił.

— Chętnie ci dostarczę, mój chłopcze, jego poezyi. Co zaś do smutku i tęsknoty, to przyznam ci się, że z życiorysu Karpińskiego nie widać do tego żadnych nadzwyczajnych powodów. Zapewne już ta tęsknota była w jego usposobieniu.

Jak zaś Karpiński był do kraju przywiązanym, da wam poznać następująca anegdota. Po utworzeniu Księstwa Warszawskiego w r. 1807, jechał Karpiński z Galicyi do Warszawy. Na granicy spotkał polskiego żołnierza, stojącego na straży. Ucieszony jego widokiem, rzucił mu się ze łzami na szyję. Żołnierz, wprostocie swojej, nie pojmując tego uniesienia, zapytał go o pasport, nie chcąc inaczey przepuścić przez granicę „Spójrz na moje łzy” rzekł Karpiński, „a po nich poznasz, żem twój rodak”. Oficer, dowodzący strażą, przed którego się cała ta sprawa wytoczyła, znał sędziwego już wówczas poetę z jego pieśni, oddając więc hołd mu należny, kazał puścić przez granicę.

— To był dopiero zapaleniec z tego Karpińskiego — rzekła Małgosia. Wyobrażam sobie, jak to wszystkich musiało rozrzewnić. Ale, proszę wuj, ja umiem jeszcze jedną pieśń, której nas również Marcin nauczył; może to także Karpińskiego?

— Ha, może. Powiedz mi ją, moja dziewczeczko. I Małgosia mówiła z przejęciem:

Boże! tyleśmy się nasłuchali,
 Co ojciec nasi nam powiadał;
 Jak w dniach ich wielkie czyniłeś dziwy.
 W dniach ojców naszych, Boże prawdziwy!

Poganie Twoją ręką zniszczeni,
 A na tém miejscu my postawieni;
 Strachem pędzone biegły narody,
 Rzucając nam swe bujne ogrody.
 Nie przez swoją to moc ojciec nasze
 Wzięły tę ziemię! Ani pałasze,
 Ani ich ramię tak było twarde,
 By mogło znękać narody harde.
 Ale twa dzielna ręka sprawiła;
 Jasność Twój twarzy ich prowadziła!
 Tyś ich i wspierał i krzepił w trudzie:
 Boś sobie w Twoim podobał ludzie.

Ale my teraz zostali sami!
 Do boju nie chcesz wychodzić z nami.
 Cóż więc ważnego kiedy zrobili
 Opuszczonego człowieka siły?

Przysłałeś strach Twój, co nas wstecz zwrócił,
 Co nieprzyjaciół na nas ocucił;
 I ten, co kiedyś był nam poddany,
 Zuęca się i w łup bierze swe pany.

Jak owce, które na rzeź chowamy,
 Rychło w nas ręce skrwawia, czekamy;
 I lud Twój, Panie! na różne strony,
 Między narody lud rozproszony.

Na wzgardę naszym sąsiadom dani,
 Wszędzie wyśmiani i urągani!
 Nasz los narody za przykład mają,
 A wspominając, głową wstrząsają.
 To złe, mój Boże! wszystkóśmy mieli,
 A o Tobieśmy nie zapomnieli;
 Nikt się gościńca nie wziął krzywego,
 Ani odstąpił zakonu Twego.

Choceśmy byli upokorzeni,
 Wgnani z domów, nędzni, wzgardzeni,
 Choceśmy bliźkiej śmierci się bali;
 Przecież my zawsze przy Tobie stali.

Czyliż my imię Twe zapomnieli?
 Do cudzych bogów ręce ściągnęli?
 Ty to nadludzkie wiesz wiadomości,
 Który serc naszych badasz skrytości!
 A mimo to nam cierpieć kazano,
 Jak owce na rzeź nas szacowano!
 Powstań, o Boże! tak długo, czemu
 Bronisz przystępu dziecięciu Twemu?

— Tak, dziewczę moje — rzekł wuj, przytulając jasną główkę Małgosi. — Psalm ten tłómaczył Karpiński z psalmów Dawida króla, izraelskiego poety. W psalmie tym Dawid mówi o narodzie izraelskim, będącym w niewoli babilońskiej a porównyując dawne cuda, jakie Bóg czynił dla niego, głębia o wybawienie. Psalm Dawidowe Kościół nasz śpiewał oddawna w języku łacińskim, stosując je do okoliczności smutnych lub dziękczynnych. Przełożone na język polski, przeszły

w usta ludu, a niema zakątki ziemi naszej, gdzieby psalmy te nie były znane.

— A więc, jeżeli lud tak psalmy te powtarza, to zapewne i pieśń: „Kto się w opiekę poda panu swemu”, którą także z Marcinem zawsześmy śpiewali, również będzie Karpińskiego?

— A jakże, mój chłopcze; pieśń tę również zawdzięczamy Karpińskiemu. Tak jak i poprzednia, jest jednym z psalmów dziękczynnych, a wzbudzających zarazem wiarę. Psalm ten oddawna czytany był w kościele podczas nabożeństwa wieczornego. Przełożony na nasz język, stał się ulubioną pieśnią całego narodu, i wraz z pieśnią poranną i wieczorną powtarzany jest codziennie. Z serca płynące Karpińskiego pieśni, trafiały też prosto do serca. A chociaż wielu tłómaczenie jego psalmów stawia niżej od psalmów tłómaczonych przez Jana Kochanowskiego, poetę XVI wieku, Karpiński właśnie prostotą i rzewnością swoją doszedł najwyższego zaszczytu, jaki może spotkać poetę. Jego bowiem pieśni śpiewa lud, a uważając je jako najdoskonalszą modlitwę, powtarza codziennie wraz z pacierzem.

Jakie zaś pieśni Karpińskiego zajmują stanowisko w poezji narodowej, macie tego najlepszy dowód, że do was, wychowanych na obcej ziemi, mało obeznanych z ojczystą mową, pieśń jego jednak wniknęła. I któż wam przyniósł pieśń tę w odległą krainę? Oto prosty wieśniak, wierny panu swojemu, dzielący z nim tułaczkę. Zapomniał on może wielu rzeczy, zatarły się wspomnienia najdroższych osób, lecz pieśń, której się wraz z pacierzem nauczył, nigdy mu nie wyszła z pamięci. Ona była jego towarzyszką wśród nędzy i głodu, ona płynęła modlitwą ku niebu, szła wszędzie z nim razem. Pieśnią tą i was wykołysał, dzieci moje; a chociażście na obcej zrodzone ziemi, pocziwy Marcin, swoim, „Kiedy ranne wstają zorze”, przywoływał owe prawdziwe *ranne zorze*, wstające w naszym kraju, wszczepiając w wasze serca miłość ku niemu. Naszemu więc Franciszkowi Karpińskiemu, przemawiającemu przez usta pocziwego wieśniaka, zawdzięczam i ja, że dzieci mego brata wróciły do mnie takimi, jak je mieć pragnąłem.

I to mówiąc, Wuj przytulił do siebie Janka i Małgosię, którzy z całą szczerotą młodocianego wieku garnęli się do jego uścisków, jak i do wszystkiego, co im kraj odnaleziony o przeszłości podawał. Księżyc, wytoczywszy się poważnie z za chmury, spojrział na ten rodzinny obrazek, a oświeciwszy go srebrzystym blaskiem, zabrał na swoje promienie, aby wraz z dźwiękami rodzinnej pieśni roznieść po najodleglejszych zakątkach ziemi.

OSTATNI PIAST NA SZŁĄSKU,

Opcwiadanie historyczne

według podań ludowych ułożyła

Marya Świderska.

(Dalszy ciąg).

Alboż to Wawel Hradczynowi nie dorówna, a Wisła nasza, czy nie piękniejsza od Wełtawy, i król Kazimierz stokroć lepszy i mędrszy od czeskiego Karola, co się z Niemcami wiąże?

— Już na króla Karola nie mówcie, Bogno, ani słoweczka! Każdy wie, że to rycerz, jakich mało. Mężny, jak ojciec jego Jan, którego cała Europa знаła, bo nawet kiedy oślepił, to jeszcze na wojnę jeździł i nietylko w swoim kraju, ale do Francji i do innych ziem; przecie go lwem nazwano. Karol odważny, ale i lepszy i mędrszy od króla Jana; gdybyście to wiedzieli, jak go Czechy kochają! On chce, żeby jego poddani byli dobrzy i oświeceni; przecie w Pradze wybudował taki wspaniały gmach na szkołę *), że niby świątynia Pańska wygląda i właśnie go poświęcali, kiedym była u ciotki Przeoryszy w Pradze.

— Tak — mruknęła niechętnie piastunka — a w tej szkole ludzie uczą się wiary swojej zapominać, a niemieckiego licha się imają; sam król przecie tylko z Niemcami trzyma i pełno ich za sobą wozi. Albo to ich teraz mało na nasz zamek szturmują? Ale niedoczekanie ich! pójdą, jak przyszedli, a może jeszcze i głowy swoje nam na pamiątkę pozostawiają!

— Wstydzicie się, Bogno; tak mówicie, jak gdyby to Czech i Niemiec nie był chrześcijaninem także!

— Może tam i chrześcijanin, boć mówią, że się krzyżem świętym żegna, ale że nie taki człowiek, jak inni, to pewna, kiedy nawet języka ludzkiego nie rozumie — odparła z gniewem staruszka. — Pewnie tam między nimi lichy jakiś być musi, kiedy mnie moję białą gołąbkę oczarowali, że tylko o nich gada i ich chwali!

— Nie gniewajcie się, nianiu złota; przecie ja swoich nie porzucę a stryja i was więcęć miłuję niż świat cały, ale trudno, żebym tego nie chwaliła, na com się napatrzyła w pięknej Pradze; bo w Krakowie jeszcze nie była i nicem tam nie wdziała.

— Czekajno, gołąbko, niech się ta wojna nie

*) Wszechnica w Pradze założona 1346 r. przez Karola, który sam będąc wielce światłym i uczonym, wiele dobrego dla Czech zrobił.

godziwa skończy, już ja cię muszę do dziadka Kazimierza zawieźć, a wtedy poznasz dobrze, że co Polacy, to nie Niemcy, a co Kraków, to nie Praga!

II.

Rycerska rada.

Kiedy tak sędziwa piastunka gwarzy ze swoją wypieszczoną księżniczką, tymczasem na dole w zamku żywa się odbywa narada. Z ciemnego sklepienia od góry zwiesza się lampa na żelaznym łańcuchu, na dużym kominie płonie wielka kłoda sosnowa, bo wieczór, choć majowy, ale dosyć chłodny dzisiaj. Na dębowych ławach pod ścianą zasiadli rycerze Bolesława, przed nimi na długim stole, co się ciągnie przez całą izbę, leżą stalowe ich hełmy z przyłbicami; miecze oparli o ścianę, żeby je mieć tuż pod ręką. Książę sam właśnie powstał z siedzenia i żelazną rękawicę na stół rzuciwszy, w te odzywa się słowa:

— Wiem, rycerze moi, że każdy z was gotów przelać ostatnią krwi kroplę, żeby bronić ojczystego gniazda naszego od dzikich najeźdźców napasći. Każdy z was woli zginąć, niż się poddać Niemcowi albo Czechowi, bo teraz, jak jeden, tak drugi, godzą na zagładę naszą. Minęły czasy, kiedy Czech z Lechem z jednego kubka miód pili, jednym się chleba kawałkiem łamali, teraz inaczej: Czechy z Niemcami czyhają na zgubę naszą. Wszystkie dzielnice Piastów naszych na Szląsku upadły jedna po drugiej; ziemię krwią i kośćmi rycerzy naszych przesiąkła, Niemiec pługiem swoim pruje, a zamiast starych orłów naszych, na basztach zamków niemieckie powiewają sztandary. My jeszcze, z Bożej łaski, ostatni na Szląsku książę udzielny, choć nam nieba zabrały potomka, najdroższego jedynaka naszego, nie damy się wziąć wrogowi. Miłościwy nam wuj i sąsiad, co prawda, nie może nam teraz śpieszyć z pomocą. On zajęty krajem, co długimi wojnami pustoszone potrzebuje rany swe zagoić; teraz właśnie mądre prawa pisze i śpichrze dla ludu buduje. Teraz o nas nie myśli i nie chcąc ściągnąć na ziemię swą gniewu potężnego sąsiada, odrzeka się lennej nad nami opieki; ale przecież w sercu jego żyje dla nas przyjaźń i życzliwość. Niech się tylko upora z przebiegłym a nikczemnym zakonem Krzyżaków, niech się wzmoże w siły i pieniądź, a pewno nam przyjdzie z pomocą. Tymczasem trzymajmy się, rycerze! niech orły piastowskie nie dadzą się niemieckim sępom! nie puszczajmy ich do gniazda naszego!

— Nie damy się, nie damy! — zawołali potężnym głosem rycerze, a brząk zbroicy żelaznej rozległ się i odbił o sklepienia sali.

— Ale radźcie mi, wierni rycerze — mówił Bolko — co robić dalej. Ja się nie ulęknę...

A kiedy to mówił, taki ogień błyskał z błękitnych jego oczu, taka szlachetność biła z wysokiego czoła, ocienionego bujnemi włosów zwojami, że czuć było, iż nie ulegnie, dopóki mu kropla krwi w żyłach zostanie.

— Nie ulęknę się — powtórzył — bom pewien słuszności sprawy mojej i waszego męstwa; ale mury, czy wytrzymają? Karol przywłókł za sobą ciężkie maszyny wojenne: olbrzymie kamienie, z pocisków ich padające, rozbiły część murów naszych, dziś dzień cały walili w nie taranami, a przez noc ludzie nie zdołają i dziesiątej części szkód tych naprawić. Jeszcze jeden szturm taki, a runie druga murów połowa.

Tu powstał z ławy mąż sędziwy; długa jego biała broda spływa na piersi, oko błękitne, jak u księcia, ale czoło grubemi poorane zmarszczkami, i kresa przez prawy policzek aż do skroni się ciągnie, a druga mu powiekę przecięła, że ledwie oko z pod gęstej brwi wygląda. To Mieszko z Zatora, mężny rycerz, co jeszcze przy boku Łokietka niejednokrotnie walczył i rany odbierał, potem Kazimierzowi towarzyszył, ale że teraz w Polsce pokój, rycerz niema co robić, więc pośpieszył do Bolka i jemu pomaga odeprzeć wroga od tej piastowskiej strażnicy. Znać, że nie prędko oręż z męźnej wypuści dłoni; teraz wsparłszy się na potężnym swym mieczu, tak rzecze:

— Miłościwy książę i panie nasz! My wszyscy walczyć gotowi, ale te gruzы walące się tylko nam zawadzają; idźmy na otwartym polu potykać się z wrogiem, to rycerska sprawa, a nie z za ścian chyłkiem bronić się od napastników.

— Dobra rada wasza, Mieszku, i ja sam wolałbym na otwartym polu z nimi się spróbować, ale mi żal krwi waszej; przytęm nas niewielka gromadka, a oni coraz większe zastępy z Czech i Niemiec ściągają; nie dalej jak dziś przecie, widzieliśmy zastęp konnych i zbrojnych rycerzy, co się im szyszaki jak złoto świeciły na słońcu: to nowi goście nam przybywają i jutro nam swoje przysła podarki.

— To też my ich wyprzedźmy, miłościwy książę i sprawmy im takie przywitanie, żeby poznali, z kim mają do czynienia. Noc ciemna, ani się spodziewają, jak im na karki wpadniemy!

Książę spojrział po swym rycerstwie:

— Dobra rada — zawołali powstając wszyscy — prowadź nas książę! Hańba i sromota temu, coby chciał nagiąć karku pod jarzmo Niemców i Czechów ich druhów!

Błyszczą szablice, wysoko wzniesione, przy

ognia czerwonym odbłasku, ale więcej jeszcze błyska, zapala i męztwo w oczach rycerzy.

Książę powiódł wzrokiem po tym walecznym zastępie. Wolałby on, co prawda, w jasny dzień śmiało stawić czoło wrogowi, ale próżno z garstką występować na nieprzejrzone Karola zastępy; dziś więc, tej nocy jeszcze, musi być wykonana śmiała na nieprzyjacielski obóz wycieczka. Chwilę jeszcze trwała narada, potem, krzyknawszy raz jeszcze:

— Niech żyje Piast, nasz książę! — rozeszli się żwawo rycerze, żeby cicho, w milczeniu załogę uzbroiwszy, wysunąć się za mury twierdzy.

Książę, wydawszy potrzebne rozkazy i obszedłszy podwórcę, rzucił okiem na wieżę okrągłą, gdzie jeszcze ciągle blade błyska światło i westchnawszy, jak gdyby mu ciężar jaki serce tłoczył, z wolna skierował się ku wschodom, do „gołębiego gniazdką” wiodącym.

Hanulka, usłyszawszy znane sobie stąpanie po wązkich schodkach i szczęk żelaznej zbroicy, rzuciła się ku drzwiom, przez które snop światła padł na wyniosłą i szlachetną postać księcia. Dziewczę obie rączki zarzuciło mu na szyję i złotowłosą główkę do piersi stałą okrytą przysłoniła.

— Chodź, stryju mój drogi, usiądź tu z nami! pozwól, bym ci zdjęła ten ciężki pancerz, daj mi ugłaskać włos twój hełmem wygnieciony! czy ci przynieść miodu słodkiego, czy dzban mleka dla ochłody, boś pewno znużony całodziennym bojem?

— Naléj miodu, złota gołąbko moja, bo mię pragnienie trawi, ale pancerza nie zdejmuj: jeszcze nie czas! Za chwilę znów do boju idziemy i właśnie chciałem was uprzedzić, żebyście się nie lękały, gdy was zdala odgłosy bitwy doleczą.

— Znów boje, znowu krew! ach, stryju najdroższy, nawet słońce w biegu swym spoczywa, nawet orły do gniazd na noc wracają, a ty znów rwiesz się do boju! Boże miłosierny! kiedy się to wszystko skończy? Wolałabym sto razy zginąć sama, byle wam i biednej ziemi naszej okupić jaką chwilę spokoju; a teraz nic poradzić nie mogę, tylko się modlić i płakać.

— Módlcie się, opatrujcie rannych, to wasze przeznaczenie. My, rycerze, walczyć i ginąć musimy dla obrony ojczystych zagród naszych. Jeszcze się Piastowie nigdy wroga nie ulękli! A teraz, dziewczę, bądź zdrowa, i pomyślcie obie z Bogną, żeby przygotować wszystko dla rannych, których zapewne z sobą przyniesiem z nocnej wyprawy, i dla jeńców, których, da Bóg, także nie zbraknie, bo Czech dumny ani się spodziewa, że nań z góry spadniemy z deszczem razem, co mu ogniska gasić zaczyna.

I wyszedł dzielny książę, przycisnąwszy do

piersi raz jeszcze główkę synowicy, która już nie mówić nie śmiała, perliste łzy ocierając, co jej po lieu spływały.

III.

Nocna wycieczka.

Cisza w namiotach czeskich, które szerokim obręczem okoliły twierdzę, i przypierają do ogromnych lasów jodłowych i sosnowych, Frankenstein otaczających. Żołnierze, całodziennym szturmem znużeni, po tylu już tygodniach nudnej, bo bezowocnej walki, ułożyli się do spoczynku, otulając się grubemi płaszcami od chłodu majowej, lecz wilgotnej i mglistej nocy. Rycerze pousypiali w namiotach swych na niedźwiedziej i wilczych skórach, stróżę tylko, niarowym krokiem obchodząc obóz, wymieniają umówione hasła.

W purpurowym, od złotogłowiów błyszczącym, a miękkimi futrami wystanym namiocie królewskim, siedzi i czuwa Karol, zadumaną głowę na rękę wsparłszy. Namarszczyło mu się czoło i mocno pięść zacisnął, jakby chciał wrogowi jakimś grozić:

— Cóż to? — rzecze sam do siebie. — Czy mam się podać na pośmiewisko wobec świata całego, trawiąc tygodnie na oblężeniu tego nędznego grodu? Wszyscy na Szlasku książęta ulegli przewadze złota lub żelazu; ten jeden śmie się jeszcze uragać potędzie naszej. Poczekaj, dumne książętko! Poznasz, co to jest walczyć z Luksemburgami. Jutro, nie dalej, choćby po stosach trupów przejść musimy i dobyć twego gniazda sępiego! Zobaczymy, kto mocniejszy! czy król czeskiej krainy, co wkrótce może i cesarską koronę na swe włoży skronie, czy uparte książętko świdnickie, co nas bezużytecznym jatrzy oporem!..

Wtém zgłask jakiś oddalony, potem coraz bliższy, przerywa nocne dumania króla. Już słychać surmy i kotły bojowe, już goreją czerwona łuna pożaru namioty z wojennymi zapasami, tabory wozów czeskich... W obozie popłoch: rycerze, ze snu nagle zbudzeni, pośpiesznie zapinają zbroje i rynsztunki, do giermków swych i koni trafić nie mogą, a tymczasem Bolko, na czele męznego zastępu, jak piorun wpada i gromi. Już pierzchają zastępy czeskiej piechoty, pośpiesznie zgromadzonej przy płonących namiotach. Pędzą na odsiecz im rycerze, niejeden jeszcze bez hełmu, którego nie zdołał w pośpiechu dostatecznie umocować na głowie,

Sam Karol na czarnym koniu, otoczony liczną strażą, rzuca się między walczących i głośno swoich do męstwa zagrzewa. Zapóźno już, zapóźno! Bolko na białym rumaku, wśród kłębow dymu

i krwawej łuny, błyska mieczem ognistym, niby archanioł zemsty, i niebaczny na śmierć, co mu ze wszech stron grozić się zdaje, pędzi, gdzie najgęstsze tłumy, gdzie najzaciętsza wre walka. Wszystko się przed nim cofa i ugina. Górą orły piastowskie! Już szyki czeskie, w nieładzie do lasu przyciśnięte, kupią się tylko w około króla swego; całe stósy trupów zasłały pobojuwisko, a mężni rycerze szlącasy wydają okrzyki tryumfu. Nim słońce jasną swą tarczę ukazało na niebie, już żołnierze Karola w rozsypce zaledwie obronili się zdołali od zupełnego rozbicia. Król, miecz krwawy ku ziemi opuściwszy, ze smutkiem i gniewem patrzy na pobojuwisko, zasłane trupami żołnierstwa i rycerzy jego. Tymczasem Bolko, na czele zastępu swojego, z tryumfem wraca do zamku. Na odgłos trąbki wojennej, której dźwięk płynął po rosie, rozwarły się bramy zamku, by przyjąć zwycięzców, którzy za sobą cały zastęp jeńców wiodą.

(D. c. n).

WYSPA CYPR.

Wyspa ta w starożytnych czasach była sławną fenicką osadą. Opowiadaliśmy naszym czytelnikom w Pogadankach o sztukach pięknych o dawnych zabytkach, wykopanych na tej wyspie. W wiekach średnich panowali tam przez lat kilkadziesiąt królowie z francuzkiego rodu Lusignan. Były to świetne czasy dla małej wysepki, liczba jej mieszkańców dochodziła do dwóch milionów, wielu też pomiędzy nimi było Francuzów. Później Cypr przeszedł pod władzę Rzeczypospolitej weneckiej, która tam trzymała silną załogę wojskową, nie zdołała jednak się oprzeć przemocy zdobywców muzułmańskich. Pod tureckimi rządami Cypr zupełnie upadł i wyludnił się, a w historii mówić o nim przestano. W roku 1878 wyspa ta przeszła pod panowanie Anglii.

Starożytni pisarze porównywali kształt Cypru do skóry wołowej, rozciągniętej na morzu, z głową zwróconą do Afryki i ogonem zachodzącym w odnogę Aleksandryi. Wyspa ta jest nadzwyczaj żyzna, ale większa część gruntów leży odłogiem. Na wzgórzach jednak rosną i dziś wszędzie najprzedniejsze gatunki winorośli. Dawniej wina cypryjskie sławne były na całym świecie.

Mieszkańcy Cypru odznaczają się pięknnością i siłą, zarówno jak wzrostem okazałym. Znaczna część tej ludności składa się z Greków, a pomiędzy muzułmanami bardzo wielu jest pochodzenia francuzkiego i włoskiego. Są to potomkowie da-

wnych osadników, którzy tu przybyli za panowania Lusignanów i Rzeczypospolitej weneckiej. Po zaborze muzułmańskim chrześcijańscy ci mieszkańcy poturczyli się, ażeby zrzeczeniem się wiary okupić prawo posiadania ziemi w kraju zawojowanym. Cypryoci całą powierzchownością wyróżniają się od mieszkańców innych wysp morza Śródziemnego, mają wiele szlachetnego wdzięku w całej swęj postawie. Kobiety są także bardzo piękne, prawie wszystkie blondynki, co jest osobliwością w okolicach południowych.

Na brzegu wschodnim Cypru, od strony Syrii, leży portowe miasto Famagusta, które było niegdyś rezydencją namiestnika weneckiego i liczyło wówczas trzykroć sto tysięcy mieszkańców. Dziś Famagusta jest wyludniona i opustoszona, panuje tam bowiem malarya. W skutek ustawicznych wylewów małej rzeczki, w około miasta potworzyło się mnóstwo bagien, których zgniłe wyziewy zatrują powietrze. Podróżny dziwnego doznaje wrażenia, przestępując bramy Famagusty; widzi on przed sobą okazałe mury obronne; wcale jeszcze nie zniszczone, powleczone jaskrawą czerwoną barwą. Dalej spotyka liczne świątynie, stojące dotąd w całości, tylko domy mieszkalne wszystkie się w gruzy rozsypały, bo są oddawna opuszczone i stoją pustkami. Bukiety palm ożywiają place wyludnione a bogata roślinność stref południowych zieleni się wśród ponurych zwalisk. Koszary i arsenały przechowały się także w całości, pozostało w nich nawet mnóstwo broni z czasów weneckich. Na ścianach zewnętrznych tkwią jeszcze kule tureckie.

Z Famagusty droga wiodąca w głąb wyspy przechodzi przez piękną, rozległą dolinę, następnie grunt się podnosi zwolna i ukazuje się miasto Nikozya, stolica dawnych królów z rodu francuzkiego Lusignanów. Mnóstwo tam pozostało pamiątek z tych czasów. Na domach z ciosowego kamienia przechowały się dotąd herby rycerzy, którzy tu przybyli w czasach wojen krzyżowych z pierwszym królem Francuzem i wyspę zawojowali. Kilka okazałych kościołów wybornie się zachowało. W jednym z nich pokazują groby dawnych królów rycerzy. I tu jednak najwspanialszą ozdobą miasta jest bujna roślinność. Wy-smukłe drzewa palmowe górują nad budynkami, a gaje pomarańczowe złożone są z drzew niezmiernie starych, liczących po kilka wieków.

Rysunek nasz przedstawia wybrzeże wyspy Cypru, na którym wznosi się góra Olimp. W Grecyi było kilka gór tego nazwiska, a zawsze je uważano za mieszkanie bóstw.

MADEJ.

Baśń ludowa, przedstawiona w dramatycznej formie,
przez M . . a.

OSOBY.

MADEJ, STARZEC.

OJCIEC.

MAGDUSIA.

JAGUSIA. } jego córki.

ANECZKA. }

Scena przedstawia skraj lasu; ojciec wieśniak z trzema córkami wracają z roboty, niosąc sierpy i kosę. Las można usłyszeć z gałęzi i kwiatów.

(Ojciec, trzy dziewczyny i Madej za drzewami).

OJCIEC *(siadając na pniu).*

Ukośliem aż dwa łany;
Odpocznijmy, bom zmachany,
A tu trzeba jutro z rana
Znowu z kosą iść do siana,
Na polankę w głębi boru;
Będę siekł tam do wieczoru,
Niechże która z was, dziewczęta,
Zanieść jadło mi pamięta.

DZIEWCZYNY *(przerażone).*

W głębi boru! O! dla Boga!...

MAGDUSIA.

Niebezpieczna tamta droga,
Łatwo zbłądzić w tej gęstwinie,
A kto zbłądzi, to i zginie!

JAGUSIA.

Czyha Madej, zbójca stary,
Niby pajak na ofiary,
Zły, że z wszelkiej w okoł chaty
Odprawiono jego swaty,
Zaklął się w okrutnej złości,
Pomścić się na całej włości!

MAGDUSIA.

W lesie zbłądzić brońże Boże!
Madej chwyta kogo może!
Zwłaszcza dziewczki z tego sioła,
Którą jeno schwycić zdoła,
Ani pyta, z kąd i czyja,
Tylko pałką wnet zabija.

OJCIEC.

Do wieczora więc od rana
Będę głodny stać u siana!

ANECZKA.

Omdlejecie, tatku, z głodu,
Już wy nie ten, co za młodu!

OJCIEC.

Cóż więc robić? trudna rada,
Kiedy taka ciężka biada
Padła nam na okolicę.

MAGDUSIA.

Drżą dziewczęta i rodzice.

OJCIEC.

Jakby nie dość, że wiek cały
Nasze sioła przed nim drżały,
Jeszcze teraz, gdy go siły
Wśród starości opuściły,
I koledzy dawni butni,
Gdy mu w duszy coraz smutniej,
Gdy sumienie coraz srożej
Przypomina sąd mu Boży,
By nie siedzieć sam z sumieniem
I z zbójcekiem swoim mieniem,
I by obiad mieć warzony,
Postanowił dostać żony!

JAGUSIA.

To okropność! strach przenika!
Niech Bóg skarże okrutnika!

(Madej bardzo stary, straszny, z wielką pałką w ręce, pod słuchający za drzewami, wygraża z tyłu pałką Jagusi na te słowa).

OJCIEC.

A on jeszcze, czy wy wiecie
Że on wybór robi przecie?
Do pastuszków wyszedł w pole,
Rozpowiedzieć kazał w siole,
Że dopóty tak dziewczyny
Będzie chwytał wśród gęstwiny
I zabijał bez litości,
Aż choć jedną znajdzie w włości
Taką, aby trzy zalety
Główne miała dla kobiety!

DZIEWCZYNY.

Ach!...

OJCIEC.

Cierpliwość, posłuszeństwo,
I prawdziwe nabożeństwo,
By za niego codzień szczerze
Chciała zmawiać też pacierze.
Wynałazłszy dziewczkę onę,
Taką pojmie on za żonę,
Tę dopiero nie zabije,
Lecz koralu jej na szyję
I dyamentów da bez miary!

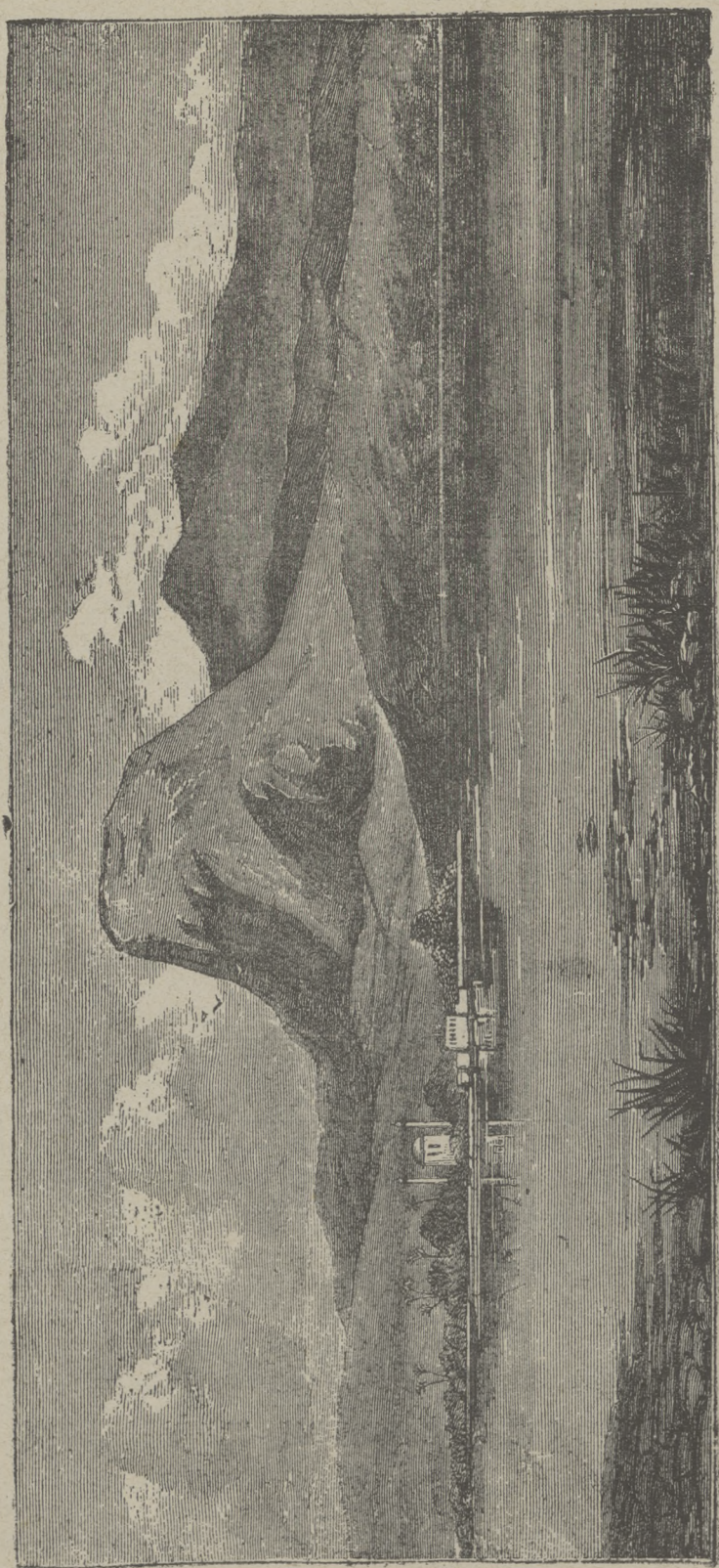
MAGDUSIA.

Żeby przepadł zbójca stary!

(Madej z tyłu wygraża pałką Magdusi).

ANECZKA.

Bez posiłku, tatku złoty,
Nie wytrwacie u roboty!



Widok Olimpu na wyspie Cyprze (str. 776).

OJCIEC.

Wiem co zrobić! jutro z rana,
Idąc z chaty aż do siana,
Będę plewy siał po drodze
Całą garścią, gęsto, srodze,
Aż usypię długą steczkę,
Co zawiedzie mą dziewczeczkę
Prosto z chaty do tatusia!

Ze śniadaniem niech Magdusia
Przyjdzie do mnie i zostanie
Do pomocy tam przy sianie;
A gdy obiad zgotujecie,
Ty, Jagusiu, moje dziecię,
Przynieś go nam tam do boru,
Bo zostaniesz do wieczoru
Też tam z nami u roboty;
Zaś skończywszy twe kłopoty
Z gospodarstwem, ty, Aneczko,
Przyjdiesz także tam, dziewczeczko,
Popołudniu jak najskorzej,
To robota pójdzie sporządź,
Od poranku do wieczoru,
Jednym dniem się skończy w boru.
Nie zbłądzicie, moje dziewy,
Tylko idźcie steczką z plewy.

DZIEWCZYNY.

O! nie zbłądzim idąc steczką!

OJCIEC.

I to przecież niedaleczko.
Pójdźmy! trzeba wstać o świcie.

(Ojciec z córkami wstają i odchodzą w przeciwną stronę tej, z której przyszli. Madej wychodzi z poza krzewów z pałką w ręce, trzęsąc się z gniewu i wygrażając pięścią i pałką za odchodzącymi).

MADEJ *(naśladując głosy dziewcząt).*

Nie zbłądzicie! zobaczycie!
„Okrutnika niech Bóg skarże”!
Ej, ja piwa wam nawarzę!
Zmiotę plewę z ojca steczki,
A do mojej ją chateczki,
Jak usypię gęsto z plewy,
Zobaczymy, moje dziewy,
Czyli z drogi nie zbłądzicie,
Gdy będziecie iść o świcie,
Gdzie zawiedzie was nadzieja:
Do tatusia czy Madeja?!

(odchodzi w głąb lasu, ciągle w złości).

AKT II.

(Izba w chacie Madeja w boru, podobna do każdej izby wieśniaczej, tylko na łóżku jest bardzo wiele pościeli, pod samą powalę sięgającą, skrzynia bardzo duża i kilka dużych beczek

stoi rzędem koło ściany, tak jednak, że poza nie wejść można, Słychać krzyk i wołanie „ratunku”! drzwi roztwierają się. Madej upycha do izby Magdusię, po rozbójniczemu trzymając ją za warkocz i wlokąc; potem zamyka drzwi, i mówi, urągając Magdusi, lub grożąc naprzemian, gdy ona krzyczy, płacząc i woła: „ratujcie”!)

MADEJ.

A co, Magduś? moja miła?
Dobrze steczka prowadziła?
Ha ha! plewą szłaś do siana,
Kędy tatko tnie od rana;
Ale zamiast zejść do tatki,
Do Madeja zaszłaś chatki!

Teraz krzycz ty, co się zmieści,
Na nic w puszczy wrzask niewieści,
Każdy gęstwin tych unika,
Bo się lęka rozbójnika.

(Wywija pałką nad głową Magdusi).

Gdybym myślał, że kto słyszy,
To cię pałka wnet uciszy!...

(Magduś milknie nagle, płacząc pocichu).

Cóż to rzekłaś ty z wieczora,
Tam na skraju lasu wczora?...
„Żeby przepadł zbójca stary”...
Tak to spełniasz rozkaz wiary?
Wszakże dusza twa niewinna
Za złych modlić się powinna,
Miał urągać wśród kłopotu!

MAGDUŚ.

O mój Boże! komu to tu
Świątobliwych rzeczy uczyć!

MADEJ.

A przestaniesz ty mi mruczeć!

(podnosi pałkę, Magduś milknie).

Milcz, i słuchaj, co ci rzekę:
W las ja pójde pod tę spiekę,
Ty mi obiad zgotuj chyżo!
Masz dziczyznę tutaj świeżą,
Masz tu krupy, mąkę, sadło,
Słowem wszelkie smaczne jadło.

(Odkrywa bodnie i schowki).

MAGDUŚ *(zdumiona).*

O!...

MADEJ.

Tak u mnie!... Potem z grochu
Wybierz mi ten śrót potrochu,
Abym wiedział, czyś cierpliwa;
A o ile czasu zbywa, *(grożąc).*
Módl się ciągle za mą duszę,
Bo mi straszne się katusze
Śnią bez końca, gdy przychylę
Jedno powiek choć na chwilę...

Jeśli wytrwasz na tej próbie,
I zgotujesz, jak ja lubię,

To za żonę pojme ciebie!
Wtedy będzie ci jak w niebie:
(*wskazuje pościel*).

Co to tu jest?...

MAGDUŚ
Toć pościeli
Całe stosy aż do ścieli!

MADEJ (*otwiera skrzynię*).
A w tej skrzyni, są tam szmaty?...

MAGDUŚ.
O jo jo joj! cóż za szaty!
Cóż tu strojów! co za chusty!
Na zapusty i odpusty
Starczy to na całe życie!

MADEJ (*odkrywa jedną z beczek*).
A w tej beczce, co widzicie?!

MAGDUŚ.
O lo Boga! toć talary.

MADEJ (*odkrywa drugą*).
Patrzno! w tej co?

MAGDUŚ.
Zgroza! czary!
Toć dukaty!

MADEJ.
Nie czar wcale!
W tej zaś? (*odkrywa jeszcze jedną*).

MAGDUŚ.
Perły i korale! (*hierze się za głowę*).
Aż się mąci wszystko ono!...

MADEJ.
Jak mi dobrą będziesz żoną,
Perły, złoto, srebro, stroje,
Chata sama, — wszystko twoje!
(*MAdej ułaje, że wychodzi z chaty, ale korzystając ze zdumienia Magdusi, ukrywa się tylko poza beczkami, otworzywszy i zamknąwszy drzwi, jakby wyszedł*).

MAGDUŚ (*przez chwilę osłupiała z podziwu*).
Rety! rety! o lo Boga!
Radość zbiera mię i trwoga!
Cóż tu skarbów, co pościeli,
Toć od ziemi aż do ścieli!...
A w tych beczkach... o lo Boga,
Toż człowieka bierze trwoga
Na bogactwa takie stosy!
O! szczęśliwe moje losy!
Pościel, srebro, złoto, stroje,
Wszystko moje, moje, moje!
(*zabiera się do gospodarstwa*).

Ugotować co wypada,
Bo i sama podjem rada...
Śrót wybierać... jużci muszę...
Ale modlić się za duszę
Tego zbójcy, a to po co?

Sny go dręczą dniami i nocą...
To niech dręczą i wiek cały,
Byle skarby mnie zostały,
Jak raz zamrze zabijaka!

MADEJ (*wychodząc z ukrycia, chwytając ją za ramię*).
A ty żmijo! toś ty taka!...

MAGDUŚ (*przerażona*).
Uch! zginęłam...

MADEJ.
Nie mam czasu,
Bo po drugą iść do lasu
Czas jest pono, więc z wieczora
Pałka z tobą się upora,
Nie dam skarbów ci na zbytki;
Chytra dziewo, idź do skrytki!
(*Wpycha lamentującą Magdusię w ogromną beczkę, w której ona niknie i nakrywa beczkę*).

Ej, ej, nie krzycz, już nie mało
Młodych dziewcząt tam siedziało
Tam pod beczką są piwniczki,
U piwniczek sztuczne drzwiczki,
Wleźć tam łatwo, wyleźć trudno,
A jeżeli ci tam nudno,
Zmów paciorek za swą duszę,
Ja po drugą śpieszyć muszę.
(*wygląda ostrożnie przez drzwi*).

A ot idzie dziewczę steczką;
Tuś mi Jaguś! pójdź, dziewczeczko!
(*MAdej wypadła ze drzwi, słysząc krzyk i MAdej natychmiast wpycha do izby Jagusię w ten sam sposób, jak Magdusię wpychał wprzód*).

JAGUŚ (*krzycząc*).
O lo Boga! oj ratunku!

MADEJ (*wywijając pałką nad nią*).
Milcz, bo trzasnę!... toć z frasunku
Wnet wybawi, Jaguś miła!
A pamiętasz, co mówiła
Do tatusia tam z wieczora,
Tam pod lasem, o mnie wczora?...
„Niech Bóg skarże okrutnika”!
Takeś rzekła, dziewczyno,
Dziki serce masz, dziewczyno,
Ty złośnico, ty gadzino!
Teraz pomszczę się na tobie,
Porachunek pałką zrobię,
Już nadeszła twa godzina!...

JAGUŚ.
O lo Boga!... (*upada na kolana*).

MADEJ.
Takaś sina
Jest ze strachu, aż żal bierze...
(*spuszcza pałkę*).
Wiesz co, jeśli zechcesz szczerze.
To ocalić możesz życie,

Lecz się słuchaj należycie.

Patrz! *(pokazuje kolejno skarby).*

Tu srebro, perły, szaty,
Tu korale, tu dukaty,
Wszystkie skarby oddam tobie,
Lecz wprzód, zanim legnę w grobie,
Ty mi będziesz wierną żoną,
Strawę smaczno uwarzoną
Będę co dnia miał trzy razy;
Wiernie spełniaj me rozkazy,
Módl się za mnie, a ja za to
Zrobię taką cię bogatą,
Ze pojęcia nie masz o tém.
Koralowe ot ze złotem *(bierze z beczki).*
Na początek masz pierścienie,
I te wstęgi na wplecenie,
I koralu wielkie sznury...

(kładzie wszystko przed nią na stole).

Teraz zgotuj mi dwie kury,
A ja chwilkę się położę
I przedrzemnę tam w komorze.

(Udaje, że wychodzi do komory, i ukrywa się jak wprzódy. Jagusia usłyszawszy skrzypnięcie drzwi, podnosi głowę, wstaje z kłęczek, ogląda się, zbliża ostrożnie do drzwi od dworu, uchyla je, i w chwili, gdy ma skoczyć za próg, Madej chwytając ją za ramię).

JAGUSIA.

Uch!... zginęłam nieszczęśliwa.

MADEJ.

Nad głupie mi głupia dziewa,
Nawet złoto zostawiła!...
Pójdź do skrytki, Jaguś miła!
(wpycha ją do tejże co i Magdusie beczki).

JAGUSIA.

Tatku, ratuj!..

MADEJ.

Ej, nie słysz!...
Tam już twoja siostra dyszy;
Poczekajcie, dziś z wieczora,
Pałka z wami się upora,
Teraz dla was nie mam czasu,
Trzeba trzecią wciągnąć z lasu,
Oknem widzę, że już bieży...
(Wypada za drzwi i natychmiast wraca, wpychając Anieczkę, która krzyczy).

ANIECZKA.

Gwałtu!

MADEJ.

Cicho! pałka leży,
Widzisz?... jak ją wezmę w dłonie,
To roztrzaskam ci nią skronie!
Milcz i patrzaj: tu dukaty,
Srebro, perły, drogie szaty,

Tu koralu beczka cała,
A to tylko cząstka mała
Skarbów, jakie mam w piwnicy;
Na mil tysiąc w okolicy
Nikt podobnych nie posiada;
Jeśliś mieć to wszystko rada,
Służ mi przez mych dni ostatki,
A gdy z czasem umrzeć muszę,
Pomódl się też za mą duszę.
Zgotuj kurę, bom jest chory,
Idę legnąć do komory.

(Udaje, że wychodzi do komory i wraca skryć się jak poprzednio. Anieczka rozgląda się przez chwilę).

ANIECZKA.

Cóż tu skarbow!... strach porywa,
Patrząc, co ta nieszczęśliwa
Starca dłoń narabowała!...
Mówi, że to będę miała!
Niechże Pan Bóg mię ochroni
Od tych bogactw i z tej dłoni!
Takie skarby palą ręce!
Ot i jego dusza w męce
Musi już być za żywota,
I sumieniem strach mu miota,
Kiedy modlitw tak pożąda.
Ale czemuż on wygląda
Poratunku z cudzej dłoni?
Czemuż serca nie nakłoni,
Swego serca do żałości?
Wszakże, jeśli nie zagości
W jego sercu żal i skrucha,
Nic nie zbawi jego ducha!

Co mam czynić, nie wiem szczerze,
Chyba troski Bogu zwierzę,
Klęknię oto, prosząc Boga,
Żeby zbójcy dusza sroga
Żal uczuła za swe grzechy...
A mnie nazad do mój strzechy
Żeby zbój dał iść swobodnie!...

(Kłęk do modlitwy, Madej, który od chwil kilku stał, zakrywając twarz rękami ze wzruszenia, teraz przystępuje do niej).

MADEJ.

Ja żałuję za me zbrodnie!

ANIECZKA.

Bogu dzięki!

MADEJ.

Jak żyć dalej,
By wypłynąć z grzechów fali?

ANIECZKA.

Jest tu proboszcz, krewny tatki,
Ja go przysię tu do chatki!

MADEJ.

Przyślij! Zabierz siostry twoje!

*(Otwiera beczkę i wyciąga z niej zapłakane dziewczyny,
Aneczka cofa się zdumiona).*

Zabierz skarby, zabierz stroje!

ANECZKA.

Daj na kościół i żyj w skrusze!

MADEJ.

A ty módl się za mą duszę...

(dziewczyny wychodzą).

Przygody młodych podróżników

NAOKOŁO ŚWIATA.

(Dalszy ciąg).

— A więc idź, Robercie, jeśli chcesz koniecznie — rzekł Jakób wzruszonym głosem.

I stary majtek, uściskawszy czule wychowanka, odszedł do wskazanej gospody, zabierając z sobą Marka, który nie bardzo był zadowolony z tego obrotu rzeczy. Robert tymczasem udał się w towarzystwie żebraka do składu odzieży, gdzie przebrał się w suknie odmienne, owinął długim burnusem i kaptur nasunął na oczy, potem przyłączył się z nieodstępnym swym przewodnikiem do karawany, w której nie był znanym, gdyż liczne gromady pielgrzymów ciągnęły jedna po drugiej do świętego miejsca.

Wkrótce stanęli przed murami Mekki. Miał to jest zbiegowiskiem muzułmanów, pochodzących z najrozmaitszych stron świata. Turek europejski spotyka się tam z Arabem, Persem, Indyaninem i czarnym mieszkańcem środkowej Afryki.

Karawana przybyła na miejsce o wschodzie słońca. Żadne pióro nie zdoła opisać, co się działo z pielgrzymami, gdy cel ich pragnień, święta Kaaba, ukazała się nakoniec przed ich oczyma.

To miejsce zabobonnej czci muzułmanów otoczone jest galeryami, rzędami kolumn i arkad, dalej zaś ciągną się dokoła rozległe place, które w tej chwili roiły się od zgromadzonych niezliczonych tłumów. Można tam było widzieć najrozmaitsze stroje i typy przeróżne azyatyckie i afrykańskie, białe, oliwkowe i czarne twarze; wszystkie krainy Wschodu miały tam swoich przedstawicieli. Kiedy niekiedy wszystkie głowy, jak kłosa na łanie, pochylały się i czołem dotykały ziemi, wołając w niebogłose: Allah! Allah! Allah jest Bogiem jedynym!

— Rób tylko toż samo, co wszyscy — szeptał żebrak do ucha Robertowi.

Od Kaaby, przeszli do studni Zem-Zem, potem

do innych miejsc świętych, a wszędzie odprawiano też same modły uroczyste, też same pokłony.

W chwili, gdy karawana zbliżała się do studni Zem-Zem, Robert spostrzegł w powietrzu ogromnego orła, trzymającego w szponach białego jak śnieg łabędzia. W tej części Arabii mnóstwo jest drapieżnych ptaków.

— To bardzo dobra przepowiednia — rzekł żebrak.

— To znaczy, że niezadługo odszukamy mego przyjaciela — mówił Robert z uśmiechem.

— Trzeba być o tyle cierpliwym, o ile wytrwałym, młody panie — odparł tamten.

Obrazki mahometańskie, o których dawniej dziwy opowiadano, nie mają w sobie nic tajemniczego i nie jeden Europejczyk widział je na własne oczy w ostatnich czasach. Posty, zmywanie ciała, modlitwy, padanie na twarz przed świętościami, oto i wszystko, co się tam odbywa. Robert musiał naśladować starannie pielgrzymów, wiedział, że inaczej życie jego byłoby w niebezpieczeństwie, a jakkolwiek wierzył w moc pierścienia, nie chciał się narażać bez potrzeby. Były to zresztą rzeczy niewinne i czuł, iż nie wykraczał przeciwko swojej religii takiem udawaniem, które miało na celu uratowanie chrześcijanina, przyjaciela, brata przybranego.

— Ach, kiedyż w końcu obaczę już Henryka? — powtarzał młodzieniec co chwila. Na szczęście żebrak czuwał nad nim i powstrzymywał niecierpliwość jego, kładąc palec na ustach i spoglądając znacząco.

— Nie zapominaj się, młody panie, patrz na pielgrzymów, — szeptał raz po raz.

Obmywszy się przy studni Zem-Zem, Robert powracał znowu po raz już trzeci do Kaaby, czołgając się na kolanach wśród pielgrzymów, gdy usłyszał w pobliżu coś jakby stłumiony okrzyk zdziwienia. Obejrzał się dokoła, lecz zrazu widział tylko same nieznane muzułmańskie twarze. Po chwili dziwny odgłos, cichszy jeszcze, powtórzył się raz drugi i Robert obaczył młodzieńca w jaskrawym turbanie, w długim białym burnusie, wspartego o słup galeryi. Poznał go w jednej chwili.

— Baczność! — szepnął żebrak — jedno słowo, jeden ruch nieostrożny, może was zgubić obu.

Henryk pierwszy poznał przyjaciela, ale się prędko opamiętał, a spojrzawszy mu raz tylko w oczy odwrócił się i przybrał znowu postawę wiernego syna Proroka, pogrążonego w zachwycie i modłach.

A jednak potrzebował on użyć całej mocy nad sobą, aby niepokój swój opanować i czekać wyjaśnienia niespodziewanej obecności Roberta w tém miejscu. Nie pojmował, dla czego Robert był sam jeden, jakim sposobem się tu dostał? Cóż się sta-

ło z Jakóbem i Markiem? Wszystkie te myśli przebiegły mu po głowie z szybkością błyskawicy i dręczyły go niezmiernie.

Po ukończeniu wszystkich obrządków i zwiedzeniu świętości, późnym wieczorem pielgrzymi rozchodzić się zaczęli, każda karawana zdążała do swojego obozu, a Henryk i Robert, aby nie rozbudzić podejrzania towarzyszków, musieli pójść każdy w inną stronę. Ale Robert nie doszedł jeszcze na miejsce swego noclegu, gdy muzułmanin jakiś nieznanany zbliżył się do niego i wetknął mu w rękę małą karteczkę. Młodzieniec wyczytał na niej te słowa, ołówkiem skreślone:

„Idź za tym posłańcem, nie tracąc ani jednej chwili czasu”.

Robert poznał pismo Henryka i pośpieszył na jego wezwanie. Żebrek nie chciał go odstąpić; wkrótce stanęli w ciemnym zaułku, gdzie Henryk serdecznym uściskiem powitał przyjaciela; dwa konie osiodłane stały w pogotowiu.

— O nic nie pytaj — rzekł Henryk — później dowiesz się o wszystkiém. A teraz niema czasu do stracenia, wsiadajmy na koń i unykajmy.

— O tak, spieszymy uspokoić pocziwego Jakóba i Marka — rzekł Robert.

— Bądźcie ostrożni, młodzi panowie — rzekł żebrek — niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło.

Robert podał mu woreczek, w którym było trzy złote cekiny.

— Bądź spokojny — rzekł — nie brak nam ani odwagi, ani roztropności.

— Bądźcie zdrowi i niech Allah czuwa nad wami!

Dwaj młodzieńcy jechali w milczeniu jeden obok drugiego, i wkrótce przybyli do bramy miasta. Ale nie wiedzieli o tém, że jeśli trudno cudzoziemcowi dostać się do Mekki, to wyjść z niej trudniej jeszcze, nie narażając się na podejrzenie. W chwili, gdy jeźdźcy chcieli bramę przekroczyć, strażnik, stojący tam na czele zbrojnego oddziału, stanął przed końmi i groźnie zawołał:

— Co za jedni jesteście i gdzie jedziecie?

— Jesteśmy synami Proroka, powracamy do Dżiddy.

— Pokażcie firman wielkiego szeryfa.

— Nie mamy firmanu.

— A więc nie przekroczycie bram miasta.

— Musimy jechać, ważna i pilna sprawa nas powołuje.

— Stójcie! Jeśli który z was odważy się zbliżyć do bramy, głowa jego natychmiast spadnie z karku.

Co tu robić? wszystko stracone! A w tém myśli nagle, jak błyskawica, nową nadzieją natche-

ła Roberta. Wyciągnął rękę i pokazał muzułmaninowi pierścień Kadura.

— A! to co innego — wyrzekł strażnik przybijając postawę pełną uszanowania — ten kamień więcej znaczy, niż firman. Możecie jechać dalej.

Młodzieńcy uszczęśliwieni pomknęli galopem i bez żadnej przygody przybyli do Dżiddy.

Niestety! nie przeczuwali, że tu ich nowe czekało strapienie. Nie tracąc ani chwili czasu, Robert i Henryk pędzili prosto do gospody, gdzie Jakób czekać miał na nich. Zaledwie jednak spienione konie zatrzymali przed zajazdem, gdy gospodarz wyszedł do nich i zapytał:

— Czy to nie wy czasem jesteście europejscy młodzieńcy, których wyglądał z takim upragnieniem stary marynarz i młody jego towarzysz?

— Tak, my sami; gdzie oni są?

— Wczoraj odebrali jakieś ważne poselstwo i obaj puścili się w drogę z przewodnikiem Arabem, nie mówiąc nikomu w którą stronę idą.

VII

Isłahan. — Piękny ogród. — Uzbek. — Pobyt w Adenie. — Znaczenie portu w tém mieście. — Przewodnik. — Pierścień Kadura. — Walka. — Ucieczka. — List. — Zaprosiny Anglika. — Drugi list. — Jakób i Marek u wrót Niebieskiego Państwa. — Dobry sposób pozbycia się kłopotu. — Dzieje Jakóba i Marka. — Bajka arabska. — Przestroga. — Trzej złoczyńcy i człowiek z kozą. — Zdrada. — Oaza. — Podróż morska. — Burza. — Kochinchina. — Pomysł Marka. — Handel konfiturami. — Bramin. Miód i muchy. — Zyskowne przedsiębiorstwo.

Przeskoczmy od razu trzy miesiące od wypadków opisanych w poprzednim rozdziale. Zastajemy dwóch naszych znajomych, Roberta i Henryka, w jednej z najwspanialszych rezydencji w Ispahanie. Obaj młodzieńcy przybrani są w bogaty strój perski, na głowie mają wysokie czapki z czarnego baranka, które Persowie noszą zwykle przy wykwintniejszem ubraniu. Siedzą naprzeciw siebie w pięknej altanie, wśród przepysznych krzewów i kwiatów, przed nimi zastawiony jest smakowity podwieczorek, na sposób wschodni urządzony. Dokoła altany rozciąga się ogród roszkowny.

— Cóż to za czarowne ustronie! — mówił Henryk do towarzysza — mieszkańcy tutejsi mają przedsmak owego raju, który Prorok przyobiecał swoim wiernym wyznawcom.

Mówiąc to powstał i obaj po chwili przechadzali się dłoń w dłoń po ogrodzie.

— Patrz, Robercie — mówił znów Henryk — czy widzisz tę okazałą figę świątynicową? Cóż to za osobliwe drzewo! Gałęzie jego spuszcza się ku ziemi, zagłębiają się w nią i wypuszczają korzenie, tworząc wspaniałe rzędy kolumn dokoła pnia

głównego. Niedziw, że Indianie otaczają to drzewo czcią religijną i w cieniu tych zielonych arkad urządzają świątynie swoim bóstwom. Ztąd nawet ma pochodzić nazwa figi świątynicowej. Ale czemuż się nie rozweselisz, drogi Robercie? Otrząsnijże się już w końcu z tego smutku i téj nieustannéj tęsknoty.

— Nie mogę być wesołym, Henryku, póki się nie pozbędę tego strasznego niepokoju.

— Nie sądz, przyjacielu, aby i mnie także nie obchodził los Jakóba i Marka. Ale ja nie tracę nadziei, że ich odzyskamy i to niezadługo. Wszakżeście i mnie już mieli za straconego, a jednak nie zaginałem przecież, jak widzisz. I oni także musieli wpaść w jakąś zasadzkę; na Wschodzie co krok się napotyka niezwykle przygody. Zobaczysz że im się nic złego nie stanie.

— Nie zapominaj, że Jakób jest już stary, a Marek znów bardzo młody, w niczem mu pomódz nie zdoła. Jeśli się puscili za nami do Mekki, mogli wpaść w ręce fanatyków muzułmańskich, i życiem przypłacić swoje przywiązanie do nas.

— Uspokój się, Robercie. Przypomnij sobie moje przygody. Byłem narażony na największe niebezpieczeństwa. Najpierw na statku rozbójniczym dwadzieścia razy na dzień mogłem być zabity przez niegodziwca, który mię podstępnie porwał. Na szczęście hultaj ten, jakkolwiek okrutny, bardziej był jeszcze chciwy i gdyśmy stanęli w Beyrucie, skorzystał ze sposobności, ażeby na mnie dobrze zarobić. Sprzedał mię za dwadzieścia cekinów w złocie bogatemu żydowi. Ten mnie widocznie uważał za korzystny towar, traktował mię dobrze, nie żałował jadła i napoju, kupił mi ten piękny strój arabski, w którym spotkałeś mię w Mekce, a potem zaprowadził mnie z sobą do Damaszku i sprzedał tureckiemu paszy za czterdzieści cekinów. Zrobił więc na mnie niezły interes. Pasza wybierał się do Mekki, przyrzekł mię zabrać z sobą, jeżeli się nawrócę na wiarę Proroka. Udałem, że się zgadzam. Bóg mi to kłamstwo wybaczy, gdyż wiedziałem, że tym tylko sposobem mogę się zbliżyć do was. Przez całą drogę nie mogłem na krok odstąpić mego pana, ale w mieście świętém udało mi się przecież czujność jego oszukać. Z pomocą poczciwego Araba, z którym się zaprzyjaźniłem w drodze, uprowadziłem konie osiodłane, czém nie skrzywdziłbym bardzo bogatego paszy, który posiada ogromne stada, gdybym mu ich był nawet nie odesłał. Resztę wiesz. A teraz rozpogódź czoło; Jakób i Marek odnajdą się tak samo, jak i ja. Nie zatruwajmy sobie rozkosznego życia, jakie tu pędzimy w téj pięknej perskiej krainie.

W téj chwili nadszedł niewolnik i rzekł:

— Panowie cudzoziemcy, dostojny Uzbek, pan mój, kazał wam oznajmić, że za godzinę nadejdzie i zabawi się z wami rozmową.

— Niech będzie pozdrowiony — odpowiedzieli młodzieńcy obyczajem wschodnim.

A teraz musimy wyjaśnić czytelnikom, kto to był ów Uzbek, który z taką wspaniałomyślnością gościł u siebie europejskich młodzieńców.

Redi, ojciec Uzbeka, słynął z wielkiej mądrości w Ispahanie. Uzbek w dzieciństwie swoim był wątły i chorowity; skarżył się i narzekał ustawicznie na swoje nędzne przeznaczenie na téj ziemi. Nie był on wstanie zabawiać się z chłopcami swojego wieku i na wzór wielkiego Cyrusa, dawnego króla Persów, ćwiczyć się w sile i zręczności, ciskając strzały i włócznie, lub tocząc obręczę po piasku. Biedne dziecię zawsze osamotnione, pozbawione wszelkiej rozrywki, napawało się smutkiem i goryczą.

— Ręce moje są tak wątłe — mówił młodzieńcy Uzbek, — że nigdy nie potrafię udźwignąć miecza, ani żadnego narzędzia. Nie będę więc mógł być ani żołnierzem, ani rękodzielnikiem. Głos mój jest słaby, nie będę wstanie przemawiać do uczniów, gdybym nawet potrafił wyklądać mądre nauki. Nie będę więc nigdy nauczycielem. Jestem do niczego i nie wiem sam, poco żyję na tym świecie.

Te narzekania powtarzały się ciągle i wiele zmartwienia przyczyniały ojcu Uzbeka. Ale Redi był zanadto mądry, aby miał ręce opuścić w tém strapieniu i starał się uleczyć syna z tego rozpaczliwego usposobienia. W tym celu obmyślił bajkę i opowiedział ją Uzbekowi w następujących słowach:

„Dnia pewnego kropelka wody spadła z chmury w morze i w jednej chwili utonęła w niezmiernych wodnych przestrzeniach. A widząc, że jest taką drobną kropką w ogromnym morzu, zaczęła narzekać:

— Niestety, jestem nieużyteczna na świecie!

Ale płynąc napotkała po drodze skojkę rozwartą i zwróconą ku słonecznym promieniom, a ta rzekła:

— Pójdź do mnie, mała kropelko; ja to sprawię, że się wydostaniesz z téj otchłani, w której zatraciłaś swoje samoistność.

Minał czas jakiś. Kropła wody przekształciła się we wnętrzu skojki w najcudniejszą perłę i wpadła w ręce zręcznego nurka. Ten ją sprzedał jubilerowi, który piękną perłę oprawił w złoto, a wszyscy podziwiali jęj połysk i cudną grę barw w mlecznej jęj powłoce. Bajeczne ceny dawano za nią jubilerowi. Perła przechodziła z rąk do rąk i wszędzie była wysoko cenioną, aż nareszcie,

